№ 9. Warszawa, dnia 17 Lutego (1 Marca) 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

PSYCHOLOGIA DZIECKA.

Do najważniejszych gałęzi wiedzy wychowawczej należy znajomość natury dziecka, bo trzeba nam znać istotę, którą kształcić, którą moralnie i materyalnie urabiać mamy. Pedagog francuzki, Juliusz Steeg, wykazując tego potrzebę, żąda, aby psychologia dziecka stanowiła jeden z tych działów wiadomości pedagogicznych, na których wychowanie opierać się powinno, a które posiadać jest obowiązkiem zarówno rodziców: ojca, matki, jak i nauczycieli. Dziecko nie jest trudnem do odgadnięcia; skłonności jego, przymioty i wady występują jasno w objawach jego pragnień, w wyrazie uczuć—w stosunku do otaczających je osób: rodziców, rodzeństwa, domowników; trzeba tylko tak rodzicom, jak wychowawcom obserwować istotę młodą uważnie i na podstawie spostrzeżeń czynionych wyrabiać sobie sąd o stanie uczuć, skłonności i zdolności naturalnych, nie śpiesząc się przecież z tym sądem, ponieważ dziecko nie jest istotą skończoną i tworzy się dopiero tak, moralnie jak tworzy się fizycznie. Władze umysłu nie są jeszcze w dziecku rozwinięte; nie rozwinięte też są i uczucia, które rozbudzają się dopiero w ciągu życia wśród wrażeń odbieranych, i to właśnie daje wagę tak wielką wychowaniu i stanowi o przyszłości człowieka wychowywanego.

Obserwacya dziecka jest zatem podstawą wychowania. Trzeba znać ewolucye intellektualne, ewolucye moralne, jakie istota młoda przechodzi i dawać jej tu pomoc, zagłuszając, skazując na zaniknięcie to, co się objawia jako skłonności szkodliwe, a rozbudzając do życia zarodki uczuć, porywów szlachetnych. Należy to więc do koniecznych podstaw wiedzy wychowawczej, aby znała te prawa przyrodzone, które tworzą genezę zdolności człowieka: podpatrzyła niejako duszę w jej pierwszych manifestacyach uczucia i poznała wśród jakich okoliczności budzi się radość, wesoły uśmiech dziecka, a co sprowadza łzy — co jest powodem rozżalenia i smutku. Takie badanie dziecka ma znaczenie wielkie. Rozumne poznanie natury tych faktów przynosi wychowawcom tę wielką korzyść, że nie posługują się niewolniczo przepisami pewnego systemu pedagogicznego, że umieją stosować się do skłonności, do usposobień dziecka: wiedzą zatem kiedy i jak należy działać, pomagać rozwojowi jednych zdolności i sił, a inne zatłumiać. Znajomość psychologii dziecka, kierunków i stanów jego uczucia, jego budzących się myśli, może jedynie doprowadzić do tego.

Według zdania pedagogów obserwacye te praktyczne powinny się rozpoczynać niemal z chwilą urodzenia, a za to dość je prowadzić do lat czterech. Dziecko jest wtedy istotką słabiuchną, nieświadomą życia, niezdolną do zastanawiania się, do myślenia, ale posiada już zarodki wszystkich władz swoich i uczuć, umie mówić i słyszy, więc świat stoi już przed nią otworem ze strony swojej powierzchownej. Pewne formy intelligencyi, pewne pojęcie wyboru pomiędzy tem, co jest dla niej miłe, lub nie, już się objawia, a to co jest egoizmem, co jest uczuciem, już też kiełki puszcza; wolna wola już występuje i działa: zatem wszystkie składowe części moralnej siły człowieka objawiają się i rozmaite poglądy na życie zaczynają się zarysowywać; niemowlę lęka się cierpienia, cieszy się widokiem matki, tęskni do niej, przyzywa ją płaczem i codzień rozwija się, wzrastając w siły ciała i umysłu—w siły uczucia, ulegając przecież kierunkowi, który wskazuje mu wychowanie. Uznaje zatem rządzące nim prawo, a choć długą jest droga, którą ma przebyć człowiek, posuwając się z biegiem lat, kto wie, zali nie większą jest przestrzeń dzieląca dziecko czteroletnie od niemowlęcia, którego oczy otwarły się raz pierwszy na światło, usta wydały pierwszy dźwięk głosu, które posiada jedynie instynkt zwierzęcia: czuje tylko potrzebę snu i pokarmu. Zdolności jego ograniczają się do utrzymania życia, i to z pomocą czyjąś, bo nie zdolne jest dźwignąć główki ponad poduszkę i utrzymać jej o sile własnej,—oczy jedynie otworzyć i zamknąć zdoła.

Zdolności umysłowych nie posiada wcale; natura dała mu dopiero cząsteczkę życia materyalnego, i to w warunkach takich, że bez pomocy rodzicielskiej, bez pomocy ludzkiej, niemowlę nie byłoby zdolnem istnieć dobę jednę. Wszystko, co jako człowiek posiadać będzie z czasem, musi zdobytem być jego własną siłą, jego wolą wolną; choć rodzice przychodzą tu dziecku z pomocą, przecież ono samo potrzebuje się do tego przyłożyć, i zajmującą to jest rzeczą, a dla matek i wychowawców wiele znaczącą: w jaki sposób wytwarza się owa wolna wola człowieka, jak się wytwarza jego pragnienie posiadania jej i rządzenia się nią w życiu? Objaw to jest zrodzenia się już i rozwoju zdolności umysłowych, których pierwsze manifestacye są przecież przebłyskami niestałemi; dziecko jest też w tej dobie dla tych, którzy chcą je obserwować, jak gdyby książka, której karty należy czytać jedna za drugą, nie opuszczając żadnej, bo wytworzyłaby się luka ważnego znaczenia. Zrazu manifestacye woli dziecka zdają się być ruchami bezwiednemi, które spełniają się pod siłą instynktu zachowawczego; następnie są to już woli tej objawy wybitne, często bezmyślnie stawiane, ale świadczące już o jakiejś rodzącej się potędze intellektualnej — o dążeniu do wyznaczonego sobie celu, aż ostatecznie występuje, wykołysane w myśli, pragnienie dokonania czegoś, co jest zaspokojeniem uczuwanego pożądania.

Niełatwem jest wykazanie tego stopniowego rozwoju istoty młodej; siły fizyczne, wzrastając, potęgują zdolności umysłowe, rozszerza się zakres wiedzy życia—i, jak potrzeba przyzwyczajać oczy

zieck a do światła, tak jest i z siłą jego wzroku moralnego, który ma ogarnąć przedstawiające mu się fakta życia. Aby wyrobić uwagę, trzeba zwrócić myśl na przedmiot jakiś i przykuć ją do niego, a obok tego dziecko nietylko doświadcza wrażeń, ale doznaje i wzruszeń: przyjemności, wstrętu, trwogi, i każde z nich wywiera jakiś wpływ dodatni lub ujemny. Uczuwa ono zarazem potrzebę kochania, przywiązania się do kogoś; pragnie, aby kochanem było, i uczucie to rozwija w niem zdolność wzruszeń tkliwych, rozwija uczuciowość. Dziecko, otoczone ciepłem miłości macierzyńskiej, ogrzewa niem sobie serce, i twierdzić można, że matka kochająca uczy je kochać, bo wyrabia w niem tę tkliwość uczuć, która stanowi o zdolności kochania. Istota młoda czuje się wtedy instynktownie rozradowaną, wdzięczny uśmiech krasi usteczka i tak przygotowana do życia między ludźmi staje się szczęśliwą, roztaczając szczęście, koło siebie.

Nie myli się autor, kreśląc te zdanie, bo nie ma wśród ludzkości potężniejszego wpływu nad ten, który kobieta matka wywiera na uczucie dziecka, „człowieka, którego otrzymała przez Boga“ a jest to podkład stanowiący o kierunku drogi, jaki sobie człowiek ten obierze. Obok uczucia budzą się przecież w istocie młodej siły różne; pamięć grupuje w umyśle wspomnienia rozmaitych zdarzeń, które pobudzają do naśladownictwa i dają pewną wiedzę życia; uwaga każe zatrzymywać się myślą na tem, co dzieje się w jej otoczeniu; wyobraźnia tworzy na podstawie zdobytej już wiedzy ideały różne, i dziecko wyzwala się niejako z powijaków otaczającego je regulaminu wychowania. Naśladownictwo i ciekawość są to instynkta kształcące, a wiążą się one ściśle z pierwszem rozbudzeniem się intelligencyi; pragnienie działalności wyłania się wtedy,—i umieć je zaspokoić dobrze, to znaczy dać dobry kierunek przyszłości życia. Dziecko zaczyna już teraz rozwijać się do pewnego stopnia samodzielnie, rozbudza się w niem energia czynna, różnica zdolności i skłonności występuje, i istota młoda przebywa niejako Rubikon wrażeń doznawanych, wydobywając z siebie moce uśpione dotąd w jej głębi.

Żyła dotychczas przeważnie o sile posłuszeństwa; obecnie osobistość jej występuje już i zaznacza się moralną stroną swej istoty. Moment ten powinien też być obserwowanym bardzo uważnie, bo wiedza natury dziecka może być teraz powziętą najdokładniej, gdyż występuje tu ona, ta natura, w najszczerszym wyrazie swoim przy tem przejściu z istnienia czysto fizycznego, do życia intellektualnego i moralnego. Rozbudzanie się idei moralnych w sumieniu dziecka jest bardzo powolnem, nietylko dla tego, że nie zna ono, nie rozumie, stosunków życia; panują w niem głównie instynkta jeszcze natury pierwotnej, a nie ma sił dostatecznych, aby walczyć z niemi, niemniej, jest to pewnikiem, uznanym przez wszystkich pedagogów, że najmłodsze nawet dziecko zdolnem jest do przyjmowania pewnych pojęć moralnych.

Sumienie człowieka istnieje w dziecku; słabiuchne, ograniczone przez wpływy różne, nie zdolnem jest jeszcze do działania energicznego, ale niemniej już jest czynnem. Nieraz można spotykać u dziecka wyrzuty sumienia, żal gorzki po spełnieniu czegoś, co uważa ono za złe i karogodne. Powtórzyć też trzeba za pedagogiem francuzkim Compayré, że nigdy nie jest zawcześnie dla człowieka, aby oddanym został do szkoły obowiązku, bo kształci ona do tego, co powinno tworzyć grunt dla każdego istnienia ludzkiego. Wpływy, wrażenia pierwsze, rozstrzygają niemal wyrocznie o losie: o doli jego lub niedoli, bo pod ich to działaniem wyrabia się siła natchnień dobrych lub złych, które nie opuszczą go już nigdy i towarzyszyć mu będą przez życie. Nie jest też przesadą myśleć już u kolebki dziecka o odpowiedzialności moralnej, która zawiśnie nad niem, podobna do tej siły, którą Starożytni nazywali „Fatum“—przeznaczeniem.

M. I.

POGAWĘDKA

Wiek nasz nazwany został wiekiem trzeźwym. Zkąd ta nazwa mu się dostała? doprawdy, nie rozumiem. Czy dlatego, że pozbył się wszystkich ideałów, wiar dawnych i marzeń; że Pegazowi chciał skrzydła obciąć i zrobić z niego najpospolitszego szlapaka? że przeniósł miłość mamony nad inne?...

Tak! niby to dla tego.

A jednak?..

Nie było to jednak otrzeźwienie się, z nadmiaru użycia, choćby najsłodszego nektaru, zrzucenie zbytecznych szat, plączących stopy postępującej wciąż naprzód ludzkości—lecz tylko zamiana jednego na drugie, powiemy śmiało: lepszego na gorsze. Jeżeli świat nie był trzeźwym, nie jest trzeźwym i dzisiaj; jeżeli w dawnej, religijnej extazie unosił się do niedoścignionych błękitów, i w tem czuł rozkosz,—dziś goni równie za szczęściem, za rozkoszą, tylko, że polem jego pościgów nie jest niebo, lecz mały okrąg ziemi, nie przestrzeń bez początku i granic, lecz zwarte koło, pewnemi zakreślone liniami; jeżeli wspaniały lot orła do słońca i w słońce odurzał go—kręcenie się w kółko do pewnego stopnia szaleństwa doprowadzić może. Wiarę w ideał nieskończony zastąpiła wiara w skończoność; tamta zawsze miała przed sobą coś jeszcze—ta już nic nie ma; naturalizm wydał bój poezyi i — w błocie ugrzązł. Napój odurzający ducha ludzkiego, zastąpiono wstrętnem piwem, mącącem wszystkie umysły.

Ludzie nie wierzą silnie, nie kochają silnie, niczego silnie nie pragną. Jeżeli romantyzm dawny powstał z nadmiaru uczuć; trzeźwość dzisiejsza—z przesytu rozumu. Wyśmiano szczęście wymarzone; realne nie pokazało się nigdzie. Wiek dziewiętnasty zatrzymał się nad przepaścią. Musi uczynić skok.

Jaki?

Przyszłość pokaże.

— Miałem ciebie zawsze za najskrajniejszego optymistę; tymczasem, jak widzę, skończonym pesymistą jesteś—powiedział mi pan Bonifacy, badający dzieje ludzkie w ogólności a człowieka w szczególności.

— Hę?—odezwałem się niezadowolony, że mi przerwał w połowie pracy.

— Nie wezmę pod rozbiór wielkich zagadnień dzisiejszego świata, na które patrzysz przez okopcone okulary—mówił mi mój przyjaciel, ale pierwsze lepsze z brzega zdanie twoje, panie, i przekonam cię, że serca ludzkie nie całkiem się wyziębiły, a jeżeli (na co się równie nie zgadzam) nie bardzo silnie wierzą, nie bardzo silnie pragną, to przynajmniej choć kochają się silnie bardzo.

Z po za okularów, nieokopconych tym razem tylko, spojrzałem na mówiącego.

— Nie wierzysz?

— Nie zupełnie.

— Przekonam.

— Wątpię!

— Do muru przyprę...

— Człowieku! już czuję ból tym przyparciem do muru mi zadany, ale mniejsza o mnie: samolubem nigdy nie byłem i nie jestem; najboleśniejszy raz zniosę, tylko ocal choć cząstkę wiary, która mi jeszcze pozostała, lub którą chciałbym zachować.

— Aha! zostawiasz sobie furteczkę do wyjścia w danym wypadku.

— Ależ dla czego nie całą bramę, z którejbym mógł wyjść i rzucić się tobie w ramiona za...

— Za przyparcie do muru.

— Choćby tak... Zatem, mój przyjacielu...

— Zatem, panie? miłość Abelarda do Heloizy...

— Pawła do Wirginii—dodałem.

— Romea do Julii—ciągnął mój przyjaciel — jak u nas, na porządku dziennym.

— Człowieku! zkąd ty przybyłeś?

— Panie? gdzie ty jesteś?..

— Przypierał, przypierał—wołałem, patrząc na tryumfującą twarz mojego przyjaciela.

— Czy czytujesz dzienniki?—odezwał się po chwili.

— Tak—zazieram do nich dość często.

— Od deski do deski?..

— Albo co?.. Aaa!—wykrzyknąłem — mówisz pewnie o „korrespondencyi prywatnej“... Czy to ma być...

— To nie jest nic.

— Więc cóż jest *coś?*

— A śmierć Anieli Wyrwiczówny? Czy do jej zadania nie była pobudką miłość mężczyzny, który i sobie nie oszczędził życia?! — a tyle innych samobójstw z miłości, o których dość często, jeżeli nie nadto często, wzmiankują dzienniki!.. Czy ludzie więc nie kochają się silnie — co?..

Na odpowiedź czekał dość długo.

— Przyparłem do muru!—zawołał.

— Niestety, mój przyjacielu—zwyciężonym nie czuję się wcale. To częste puszczanie sobie kul w serce i do głowy... z miłości — jest niczem innem, jak zniżeniem się pojęć moralnych, dowodem, braku właśnie tych ideałów, o których wyżej wspomniałem. Nędzne to serce i nędzna głowa, które—przy pierwszem, choćby nawet bolesnym, zawodzie—nie znajdują innej ścieżki, nad rozprawienie się z samym z sobą kawałkiem ołowiu. Jestem „bez łez i litości dla zwyciężonych“... w ten sposób. Są to duchy nie przynoszące żadnego dorobku społeczeństwu. Rozumiem, rozumiem bardzo dobrze, że człowiek nie jest z żelaza, ni kamiennego serca nie ma,—że miłość dla kobiety może być bardzo wielka i piękna tą wielkością, nie wyłączam tutaj, i szału, i namiętności, to wszystko—rozumiem!—ale samobójca i zabójca Wirwiczówny, żądający, by go do grobu odprowadzono przy żałobnym marszu Szopena, jest wprost komicznym. Tak zblazowani jesteśmy, że nawet umierać poważnie nie umiemy. Zresztą przypatrzmy się tym samobójstwom z miłości. Czy tam w grę wchodzi ta piękna miłość dzieci poważnionych rodów z Werony, czy nie jest ona niższej, stokroć niższej natury?.. Osnujmy tragedyą na wypadkach z życia Wisnowskiej, naprzykład, — a zobaczymy czy nam smakować będzie. Duch śpi, sączy się tylko w żyłach krew niezdrowa; dlatego ofiary podobnych miłości nie wzbudzają w nas uczucia żalu, w duszy nie potrącają strun żadnych, o dźwięku arfowym. Wiem, mój przyjacielu, że ciebie nie przekonałem: gdzie ty widzisz wzniosłość — ja miłość...

Pożegnałem pana Bonifacego i wziąłem się do przerwanej pracy.

Od czasu do czasu w łamach naszego piśmiennictwa odzywa się, aczkolwiek bardzo już słabo, echo medyumizmu i połączonego z nim Eusapizmu. Protokóły uczestników posiedzeń zostały ogłoszone, namiętności uspokoiły się i bezstronny czytelnik w tym labiryncie zdań *za* i *przeciw* zoryentować się już nieco może.

Jaki tedy wypadł ostateczny wynik ze znanych nauk posiedzeń i badań przeprowadzonych nad nieznaną dotąd siłą?

Świadkowie tych experymentów medyumicznej siły, a oni tylko mogą mieć głos decydujący w omawianej, a swojego czasu tak głośnej sprawie — podzielili się na trzy kategorye: 1) Wierzących, 2) Przeczących i 3) Nierozumiejących. My-byśmy te trzy kategorye sprowadzili do jednej, mianowicie do trzeciej, bo nam się zdaje, że można mówić o prawdzie jasnej, jak słońce, tam, gdzie inni to słońce widzą, a drudzy istnieniu jego zaprzeczają, gdzie się nasuwa tysiące, i to bardzo poważnych, wątpliwości. Nie pomyliliśmy się, wypowiadając zdanie *a priori*, przed przyjazdem jeszcze sławnego neapolitańskiego medyum do Warszawy—że sprawa rozstrzygniętą nie zostanie, i ostatecznym jej wynikiem będzie ta sama, co i wprzódy i niepewność. Nie cofnięto się o krok w tył, nie posunięto się naprzód: zostaliśmy, jak byliśmy przed tem, wzbogaceni tylko świetną teoryą Ochorowicza. Z niekłamaną niecierpliwością oczekujemy nowej pracy w tym przedmiocie znakomitego pisarza, która, jakkolwiek gordyjskiego węzła nie rozetnie — to nam zawsze da *coś*, nad

czem, jeżeli nie dzisiaj, to może jutro, zastanowić się przyjdzie.

Niespodzianki bywają czasami miłe, niemiłe czasem. Do tych ostatnich zaliczyć możemy kaprysy tegorocznej zimy i pękające ściany nowopowstałych w—zimie—domów.

Po dniach płaczliwych, stałej odwilży, która pozwoliła lodowi na Wiśle spłynąć spokojnie, nie zalać pól ornych, parostatkom wyruszyć nawet w dół i w górę po uprzejmie nęcącej rzece: dmuchnął sobie niewinny wietrzyk północny i pożegnana już zima przypomniała przedwczesnym marzycielom o rozkoszach wiosennych. Mróz kilkostopniowy; białe, gęste płatki przelatujące pewnego wieczora i cienką warstwą pokrywające ziemię, w niejednym wzbudziły chętkę spróbowania szlichtady — po bruku, a że niedowiarstwo jest cechą naszego wieku, nie wierzono i tym białym płatkom, by zechciały gęściej na ziemi się ułożyć i dłużej poleżeć na niej: zaraz nocą więc kilka sanek ukazało się na ulicach miasta i z wielkim hałasem a porywem pomknęło niby po śniegu.

Jazda była oryginalna i widok niezwykły. Ponieważ miasto spało, zapóźniony tylko przechodzień przesuwał się opuszczonemi chodnikami, na ulicach nie krążyła, jak zwykle niezliczona ilość ludzi i pojazdów, można więc było dać folgę ochocie i tęgim kłusem przebiegać wzdłuż Nowego-Światu i Ujazdowskich Alei. Parskały raźno konie, a sanie niemiłosiernie zgrzytały, ocierając się o kamienie. Nie biały puch śniegu kłębił się za niemi, ale z pod żelaznego ich okucia ogniste skry się sypały. Widok był wcale niezwykły, a amatorowie sanny, nie ubliżyli w niczem zimie i śmiało pochwalić się mogli oryginalną szlichtadą.

Nie wiem za to, czy w smak poszła właścicielowi domu pod N-r 26 na Nowym Świecie niespodzianka wcale innego rodzaju. To już w grę wchodzą, nie białe płatki ażurowego śniegu i niewinna szlichtada, ale ciemne szczerby rysujących się a świeżo wzniesionych murów, które także coś o ażurowym deseniu mogą mówić, i o szlichtadzie również, w przeciwnym tylko od poprzedniej kierunku.

Od lat trzech przeważnie wzmaga się w Warszawie ruch budowlany. Na pierwszorzędnych ulicach, o dalszych już nie mówię, po powstawały nowe domy o rozmiarach wspaniałych i wspaniałej potworności kształtów.

— Wznosi się miasteczko—mówił z pewną dumą i zadowoleniem zakochany w swej Warszawce Warszawiak — ale niejeden stary zrzęda się znalazł, który, przypatrzywszy się tym cztero-i pięciopiętrowym pięknościom, a wściubiwszy nos swój tam, gdzie go nie proszono, zauważył, że głównie nieuczciwa spekulacya kieruje tym ruchem budowlanym. Tam i sam stary mantyka odezwał się w łamach pism codziennych, i jak Falb drugi, przepowiadał blizki koniec. Obraził tym wścibstwem niejednego właściciela nowobudującej się kamienicy i zajętego przy niej budowniczego, ale, jak kruk złowróżbny krakał, krakał i — wykrakał lepiej od Falba dzień feralny.

Na wyżej wspomnianej ulicy, pod numerem podanym wyżej, pięcio-piętrowe straszydło, jak jedno z pism doniosło, o 20 łokciach szerokości a przeszło 25 wysokości, zapragnęło z wyższych regionów zejść na padół ziemski. Nie pozwolono jednak na podobną wędrówkę, i zapobiegając tym niepoetycznym zachciankom kamienicy pana Mendelsberga, zamurowano wszystkie okna parterowe i pierwszego piętra. Przyczyną, smutne następstwa mogącą pociągnąć za sobą, była, oczywiście, chęć lekkim kosztem za duże pieniądze wybudowania kamienicy i oddania jej szczęśliwym lokatorom, gdyby zaś przytrafił się nabywca, chęć obdarzenia go najprędzej takim ładnym prezentem. Ale niegodziwe ściany zawcześnie zdradziły niemoc swoję. Jeżeli ludzie w kwiecie wieku w łby sobie palą — dla czego one miały koniecznie doczekiwać się starości, i dopiero wtedy pękać i trzaskać? — Jak pomyślały, tak zrobiły, zrzucając nawet z siebie wszelką odpowiedzialność za swojego pana, który materyału budowlanego dostarczał sam do swojej posesyi. Zewnętrzne szychty muru układane były z cegły nowej a lichego gatunku, starą zaś wypełniono środkowe pola. Ponieważ cegła stara była cieńszą od wypalanej obecnie, brak ten więc uzupełniono wapnem. Nie dziwota więc, że cienkie, liche cegły nie wytrzymały nacisku olbrzymiego ciężaru i postanowiły sobie rozejść się tam i sam.

*
* *

Zarząd miejski poruszył obecnie projekt, odłożony w swoim czasie *ad acta*, przeprowadzenia linii tramwajowej na Powiślu. Utrudniona komunikacya z tą oddaloną częścią miasta, oddawna wymagała zwrócenia na siebie uwagi. Dwa projekta są na porządku dziennym: pierwszy od Nowego Zjazdu przez ulicę Dobrą, Solec do kościoła Św. Trójcy, drugi od rogu Alei Jerozolimskiej i Nowego Światu, przez Aleję, Solec, Czerniakowską do stacyi pomp. Wkrótce mają się odbyć narady w tej sprawie, celem opracowania szczegółów: w jakim kierunku rzeczoną linię przeprowadzić, kto się przedsiębiorstwa ma podjąć i na jakich warunkach?

Prędzej jednak, nim nad Wisłą, będziemy tramwajem jeździli, ukaże nam swoje piękne oblicze nowozałożony park na placu Ujazdowskim. Jak tylko cieplejszy promień słońca dopomoże ziemi do wyswobodzenia się z objęć mrozów, zarząd budowy kanalizacyi i wodociągów przystąpi do układania wodociągowych rur i hydrantów do polewania młodych roślin, a dokonać ma tego pod nadzorem i za wskazówkami komitetu opieki nad plantacyami. Urządzony też będzie kran, służący specyalnie do zasilania wodą sadzawki, około której roboty rozpoczną się w tym roku. Koszt całego parku razem z ogrodzeniem nie przeniesie summy rs. 25.000, a park sam w całości ma być ukończony stanowczo w roku bieżącym.

Aż zanadto dobre powodzenie, bo połączone z trzaskaniem żeber podczas tłoku, wysadzaniem w powietrze i to bez dynamitu, budki kassyera, przymusową kąpielą niektórych osobników płci obojej w pięknych stawach Łazienkowskiego parku, zgnieceniem trawników i żywopłotów i z przejechaniem jednej tylko niewiasty — to zanadto dobre nawet powodzenie Corsa kwiatowego, dało myśl zwolennikom tej nowej u nas zabawy: odnowić ją i w tym roku. Zapobiegając tylko wzmiankowanemu powyżej niezwykłemu jej powodzeniu, wcześniej zaczęto opracowywać regulamin wesołej zabawy, która w końcu Czerwca ma się odbyć w Łazienkach, jak to było i roku zeszłego. Gdyby zaś odmówiono Łazienek, do czego prawdopodobnie przyjdzie, Corso rozpocznie się w alei Ujazdowskiej, a skończy się na Mokotowskiem polu, na placu wyścigów.

Ta myśl ostatnia bodaj czy nie jest bardzo dobrym pomysłem. Łazienki zanadto mało mają dróg, po których wygodnie mogłyby się przesuwać ukwiecone pojazdy, są nazbyt zacieśnione, i mało dają pola ciekawym tłumom do przypatrzenia się pięknemu łańcuchowi kwiatów żywych i nieżywych. Na wiorstowej przestrzeni areny wyścigowej z wszelką swobodą mogą krążyć ubrane rydwany i wozy, i nic oczom ciekawych widowiska nie zasłoni. Mieniąca się tęcza barw, zakreślając „wspaniałe“ koło—iście „wspaniały“ może przedstawić widok. Dochód zaś ze sprzedaży biletów na wejście do środka może być większy nawet, niż roku zeszłego. Głosuję za placem wyścigów — i może głos mój odosobnionym nie będzie.

Kończę dzisiejszą pogawędkę, łaskawi czytelnicy, nieobojętną dla nikogo, lubiącego piękno, wiadomością, że do Salonu Artystycznego przy Nowym - Świecie, nadszedł w tych dniach cały szereg obrazów religijnej treści, pędzla Andriollego. Prawdopodobnie, nim do rąk weźmiecie te karty drukowanego papieru, obrazy już będą zawieszone i wejście na wystawę otwarte. Spotkamy się dnia którego przy malowidłach niepośledniej wartości, które odkryją nam nieznaną dotąd dziedzinę ducha znakomitego rysownika, i porwani lotem jego fantazyi, popłyniemy tam, gdzie wieczyste trwa piękno i prawda.

??

NIEBEZPIECZNY ZWROT

przez

Maryę Jarmund.

Największą zdobycz, jaką koniec naszego stulecia poszczycić się może, stanowią naukowe badania rozmaitych zjawisk, dawniej z lekceważeniem pomijanych.

Zwrot nauki w ostatniej dobie, uznany słusznie za najznakomitszy dorobek dla ducha ludzkiego, nie jest jednak pozbawiony niebezpiecznych stron dla średnio intelligentnych umysłów, na co dotychczas zbyt mało zwracano uwagi. Jak ważną pomimo to i doniosłą musi być zmiana poglądów ogólnych dla przyszłości wiedzy i postępu, łatwo zrozumie każdy, kto uprzytomni sobie owe nieprzezwyciężone przeszkody, które duch ludzki, wyrywający się naprzód ku górze i światłu, od najpierwszych początków cywilizacyi na drodze swojej spotykał. Nie dosyć bowiem, iż potrzebował on staczać ciężkie i bolesne walki z przyrodą, aby jej wydrzeć przemocą zazdrośnie ukrywane tajemnice, lecz o wiele trudniejsze miał do spełnienia zadanie, gdy pokonywać musiał zapory i przeszkody z własnej winy i własnej woli na drodze postępu nagromadzone.

Wieki upływały wśród walk najznakomitszych przodujących umysłów z przesądami, wierzeniami i pojęciami przyjętemi przez tłumy. I znów wieków całych potrzeba było, nim światło prawdy, zdobyte przez naukę, zdołało się przedrzeć do uprzedzonych i ciasnych umysłów ogółu.

Spojrzenie rzucone w daleką przestrzeń ubiegłych stuleci pozwala nam dostrzedz dziwną bezmyślność, z jaką człowiek zorganizowany społecznie usiłował nieraz powstrzymać i ubezwładnić umysłowy swój rozwój. Wiedza, nietylko zamknięta w ciasnym obrębie jednej kasty, lecz wśród tej kasty jeszcze dostępna tylko dla wybranych jednostek, pomimo, iż wzbijała się chwilowo do zadziwiających wyżyn, musiała jednak ostatecznie, a zawsze i wszędzie z braku sił żywotnych, konać na anemia, duszona przez tych, którzy ją dla siebie wyłącznie zagrabić usiłowali. Kara śmierci i męki oczekiwały zuchwalców, odważających się przeniknąć, starannie przed okiem profanów ukrywane tajemnice. Zdolności, talenta, pragnienie wiedzy — wszystko ginęło marnie, nierozwinięte, stłumione w zarodku.

Tak było w Egipcie, tak w Indyach, tak nad Eufratem. Duch ludzki po za obrębem kast wybranych osaczony, ściśnięty w duszące go powijaki form i formułek, nie śmie nigdzie ani drgnąć, ani kroku postąpić naprzód.

Wieki Średnie ze swoją ciemnotą, swemi przesądami, swoją inkwizycyą i wydoskonalonemi narzędziami tortur, jeszcze dzielniej prowadzą walkę z każdym śmielszym i swobodniejszym umysłem. Wdzierając się przemocą, postrachem i gwałtem, do sumienia i serca człowieka, tłumią wszelkie nowe, zaledwie kiełkujące myśli, któreby mogły zburzyć przyjęty porządek rzeczy i wyrwać wpojone w ogół pojęcia.

Ścigana jak zbrodnia, posokami krwi gaszona, myśl ludzka tlała w iskierce, nie ośmielając się jasnym zabłysnąć płomieniem. Zastój w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości był zupełnym. Zdawało się, iż oświata i postęp nazawsze stłumione już zostały.

Potrzeba było wielkiej odwagi, genialnych zdolności, gorącego pragnienia wiedzy i nieprzepartego do odszukania prawdy popędu, jaki natura sama kładzie w niektóre serca ludzkie, ażeby się wyrwać z zaklętego koła nakazanej z góry bezmyślności i ciemnoty.

Kopernik pierwszy wiekopomnem swem odkryciem zrobił w tem kole większy, trwały już, zasypać się niczem niedający wyłom. Świat martwy przykuty do miejsca otrzymał nagle ruch i życie. Słońce wstrzymane w biegu; pierwsze podwaliny dzisiejszej nauki rzucone i popęd do dalszych badań obudzony. Ileż jednak piorunów ściągnęli na swoje głowy odważni burzyciele przyjętych od wieków pojęć i wierzeń!

Kopernika wczesna śmierć tylko uwalnia od zbierającej się groźnej burzy, Galileusz jedynie przez odstępstwo i zaparcie się prawdy unika stosu, a ich uczniowie i wyznawcy, ścigani i prześladowani przez długie lata, wtedy dopiero zyskują uznanie, gdy światło prawdy, przeniknąwszy tłumy, zniweczy przesąd i utarte błędy zwycięży. Nie ma zaś trudniejszych do wykorzenienia błędów, nad te, z któremi liczne pokolenia rodzą się, wzrastają, żyją i umierają.

Nauka we własnych swych kapłanach znajdowała przeszkodę i zaporę: powagi naukowe same uznały pewne, ściśle określone, przedmioty, za jedynie godne badań i studyów, wszystko zaś co wykraczało za przepisane granice, ogłosiły jako blagę i oszustwo. Nie można też się dziwić, że na wyklętą drogę nikt nie miał odwagi zabłądzić.

Ostatnia doba dopiero przyniosła stanowczą pod tym względem zmianę. Ciągły rozwój umysłowy i coraz większe wysubtylizowanie uczuć i zmysłów pozwoliło najwrażliwszym jednostkom dostrzedz niektóre tajemnicze, niezrozumiałe zjawiska, objawiające się czasami w naturze. Tajemnice te, dostrzegalne dla naszych zmysłów w wyjątkowych tylko okolicznościach, a mające prawdopodobnie swe źródło w nieznanych nam dotąd siłach przyrody, istnieć musiały od początku świata, nie zwracały jednak niczyjej uwagi. Nauka stała jeszcze zbyt nizko, ażeby zrozumieć mogła doniosłość takich objawów i zabrać się do ścisłych badań, które jedynie mogły prowadzić do nowych odkryć. Zapał, z jakim się zwrócono niedawno na to pole nieuprawione i niewyzyskane dotychczas, stanowi właśnie najlepszy dowód jak daleko Ludzkość postąpiła na drodze rozwoju umysłowego. Ostatnie więzy krępujące naukę już zerwane, szeroki gościniec wiodący do postępu stoi dla wszystkich otworem!..

Gdyby wieki poprzednie umiały były trafić na tę drogę, to wiedza obecnie stałaby już o wiele wyżej. Na nieszczęście, zjawiska wywoływane przez Mesmera przed stu przeszło laty nie zwróciły niczyjej uwagi, nie pozostawiły żadnego śladu i nie pobudziły do dalszych badań. Uczeni przyjęli je szyderstwem, lub pogardliwą obojętnością. Dlatego-to mamy w tym kierunku bardzo mało jeszcze pozytywnych wiadomości i pełno błędnych wyobrażeń gnieździ się w umysłach tłumów. Pierwsze dopiero syllaby tajemniczych hieroglifów rozpoczęto odczytywać i dziś nikt przewidzieć nie zdoła: czego Ludzkość się dowie, gdy odczyta wszystko do końca.

Popularyzowanie nauki przygotowało głównie niespodziewany wzrost do jakiego doszła nowoczesna cywilizacya. Właściwe światło bowiem nie polega na wiedzy zdobytej przez jednostki i zasuszonej w zbutwiałych księgach, lecz na rozlewaniu jej szerokiemi strumieniami wśród mas ludności, której poziom oświaty równolegle z nią się podnosi. Wiedza wtedy dopiero, gdy przeniknie tłumy, czy-to pod postacią dogmatów i wierzeń w dziedzinie moralnej, czy pod postacią wynalazków, rozszerzających dobrobyt na ogół, aż do najniższych warstw, w dziedzinie materyalnej, staje się czynnikiem prawdziwie cywilizacyjnym, którego trwałość i rozwój jest zapewniony. Inaczej ginie bezpowrotnie, najlżejszego śladu po sobie nie zostawiając.

Liczne odkrycia i wynalazki, mnożące się w miarę, jak przybywa coraz znaczniejszy zastęp pracowników na polu pracy umysłowej, wywołały zupełny przewrót w wyobrażeniach ogółu. Przewrót ten uwidocznił się, nietylko w nauce ścisłej, ale i we wszystkich dziedzinach mających z wiedzą jakąkolwiek łączność. Dostrzedz go możemy zatem w sztuce, w literaturze pięknej, w krytyce literackiej, i t. d., gdzie tworzy on niejako łańcuch jednolity, łączący wspólnym węzłem całą wiedzę ludzką, tak, iż wszystkie jej pojedyncze gałęzie w jednę nierozerwalną łączą się całość.

Powieść, wrażliwa zawsze na najsubtelniejsze zmiany kierunków i nowe prądy, rozpoczęła i obecnie, pierwsza, z pewną nawet szkodą dla budzących się pojęć, szerzyć je wśród czytelników, nim jeszcze dojrzały i stały się pewnikiem na podstawie badań naukowych.

Wprowadzony przed niedawnym czasem, za pośrednictwem powieści kierunek *naturalistyczny*, polegający, jak wiadomo powszechnie, na ścisłem badaniu rzeczywistości i prawdy, z wykluczeniem zupełnem ideałów i fantazyi, przeżył się już niemal zupełnie.

Zola, główny twórca naturalizmu w powieści, popełnił błąd, który prawdopodobnie stał się powodem upadku, do jakiego coraz szybciej chylić się zaczyna powieść naturalistyczna. Przejąwszy się głębokiem dla nowoczesnej nauki uwielbieniem, które zresztą podziela każdy światły umysł, powieściopisarz francuzki zapragnął przedzierzgnąć się w uczonego, brał skalpel albo lancet do ręki, ażeby z ich pomocą wydobywać na jaw wszystkie najwstrętniejsze brudy z serca człowieka. Wyrozumował on sobie, że kiedy uczony dotyka się w celach naukowych najszkaradniejszych przedmiotów dla tem łatwiejszego rozpoznania i wyleczenia zadawnionej w organizmie choroby, to i twórca literacki nie powinien unikać badania ohydnych ran moralnych, w nadziei, że rozpoznane prędzej się dadzą wygoić i uzdrowić.

Zapomniał on jednak o tem zupełnie, wprowadzając nową teoryę w życie, że gdyby nawet porównanie takie było możliwe i utwór wyobraźni mógł się zdobyć na ścisłość naukową, to i tak jeszcze wielka między niemi zachodziłaby różnica. Uczony podczas swoich „experymentów“ zamyka się między czterema ścianami laboratoryum, nie wpuszcza w tym czasie do wnętrza ciekawych tłumów i dzieli się z ogółem dopiero wynikami swych badań. Powieść tymczasem, przeznaczona dla mas, każdego czytelnika z osobna czyni uczestnikiem wstrętnych rozbiorów, z których, zamiast korzyści, szerzy się zaraza moralna.

Błędne owo upodobanie w poruszaniu błota i wszelkiego rodzaju nieczystości, przyjęte początkowo z ciekawością, zaczęło budzić wkrótce wstręt i obrzydzenie w czytelnikach, zabijając bezpowrotnie naturalizm, choć on właśnie, jako zgodniejszy od romantyzmu, z naszemi pojęciami i wyrobionym umysłem, mógł się cieszyć o wiele dłuższem panowaniem.

Rzeczywistość nie koniecznie musi być brzydką i wstrętną. Istnieją na świecie rzeczy prawdziwe, które mimo swej rzeczywistości są piękne i powabne. Człowiek zaś, najgorszy nawet, woli patrzeć na jasne i piękne obrazy, podnoszące go moralnie, niż na odbicie własnych wad i zdrożności, które upokarzają go i wywołują w nim zniechęcenie.

W chwili kiedy niechęć do naturalistycznego kierunku coraz wyraźniej objawiać się zaczęła, literatura piękna na inne musiała się zwrócić drogi. Cofać się do dawnego idealizmu było już zapóźno. Umysł nasz, trzeźwy, jasny i analityczny, odbiegł już zupełnie od dawniejszych pojęć, nie umiejąc ich dziś zrozumieć. Średniowieczna galanterya i chłodno-śmieszny sentymentalizm z romansów kilkunasto-tomowych Gomberville'a a zwłaszcza panny de Scudery, równie nam jest obcym i niezrozumiałym, jak płaczliwy, rozegzaltowany sentymentalizm pani de Staël w *Korynnie* i *Delfinie*,—a przecież budził on zachwyt i uwielbienie na początku naszego wieku.

Miłość nie odgrywa już głównej roli w życiu ogółu. Ludzie zbyt są dziś chłodni na to, zanadto pozytywni i zanadto zapracowani, a wreszcie poznali, że może być wiele innych ważniejszych celów. Bohaterki i bohaterowie też, usychający długiemi latami z miłości i umierający z niej na ostatniej stronicy romansu, zamiast rozczulenia i współczucia, budzą obecnie niedowierzanie i mimowolny uśmiech wywołują.

Takiegosamego losu doznała dawna wiara w cuda, czary i nadprzyrodzone zjawiska, które w naiwnych, na wpół oświeconych umysłach dawnych społeczeństw wybitną zawsze odgrywały rolę. Wszystko to teraz już wystarczyć nie mogło. Potrzeba było wejść na inne tory. Nowe prądy, budzące się właśnie w umysłach ludzkich, dopomogły do tego zwrotu, wskazując kierunek, w jakim się on ma dokonać.

Nauka, doprowadzona do dzisiejszej dokładności, udowodniła, że na świecie wszystko podlega stałym i niewzruszonym prawom, i że praw tych nic zakłócić, ani zmienić nie może, bez nadwerężenia ogólnego porządku. Wszelkie zatem niewyjaśnione zjawiska muszą być, albo złudzeniem wyobraźni, albo, jeśli istnieją rzeczywiście, to są wypływem pewnych sił przyrody dotychczas nam nieznanych; siły te jednak, prędzej czy później, nauka odkryje.

W dziejach umysłowego rozwoju Ludzkości, przykłady podobne często napotykamy. Na początku cywilizacyi, kiedy wiedza w zarodku z najpospolitszych nawet zjawisk sprawy zdać sobie nie umiała, ludzie musieli wierzyć w cuda i spotykać się z niemi co chwila.

Dla Starożytnych piorun był strzałą w ręku boga. Rozgniewany Jowisz często nią niszczył dzieła ludzkie, chcąc zbrodnie ukarać lub błądzących zwrócić na drogę upamiętania.

Liwiusz—znakomity Liwiusz nawet, naiwną tę wiarę podziela z ogółem, notując skrzętnie na kartach swej historyi każdy ważniejszy wypadek, który uważał za bezpośrednią, cudowną interwencyę zagniewanego nieba.

A dziś boska ta strzała, przemocą wydartą została z groźnej Jowisza dłoni! Niepomni wzniosłego jej pochodzenia, ściągnęliśmy ją z nieba na ziemię, zmuszając do wykonywania najpospolitszych posług. Musi nas ona wozić, oświecać, pracować w fabrykach,—posłuszna na skinienie człowieka, który ją ujarzmił.

Cóżby Starożytni na to powiedzieli?

(Dokończenie nastąpi).

KOBIETA W STAROŻYTNYM RZYMIE.

przez

Józefę Żdżarską.

III.

MATRONA.

(Dokończenie).

Dwoje dzieci prowadziło pannę młodą, trzecie ją poprzedzało.

Przed dzieckiem szedł *camillus*, niosący koszyk.

Panna młoda trzymała kądziel z wełną i wrzeciono, rzucając chłopcom orzechy, na dowód, że się wyrzeka figlów dziecinnych.

Drzwi domu pana młodego, ozdobione gałęziami i kwiatami, próg posypany liśćmi.

Panna młoda przyozdabia drzwi wstęgami wełnianemi, nie przechodzi progu, ale ją przenoszą przez próg, co znów przypomina porwanie Sabinek.

Pan młody wychodzi naprzeciw przyszłej towarzyszki swojej z wodą i ogniem, pokrapia ją wodą zaczerpniętą u ogniska domowego jej rodziców, przywodząc jej miłe wspomnienie — obrzęd ten uprzytomniał raz jeszcze wspólność pożycia małżeńskiego—poczem pyta się: kto jest? Ona odpowiada dumnie:

— Tam gdzie ty będziesz Kajusem, ja będę Kają.

Co znaczy: tam gdzie ty będziesz panem i ojcem rodziny, ja będę panią i matką rodziny.

A ogień, który jej małżonek ukazuje, odnajdzie żona w sypialni, odnajdzie w Atryum, gdzie się znajduje ołtarz Westy.

Nazajutrz małżonkowie składają tu ofiarę; poczem odbywa się uczta.

Uroczyście więc rozpoczynają używać wspólnych darów i dóbr nabytych.

Kiedy mąż kupił dom nowy, żona uświęcała go obrzędami religijnemi. Czyniąc, jako rolnik, ofiary bogom po żniwie, miał przy boku swoim żonę i dzieci.

Każdemu bóstwu dostawało się co innego. Bogini ziemi Rzymianin składał główną ofiarę; Sylwanowi, geniuszowi lasów, opiekunowi pastwisk i bydła, oddawał mleko owiec; geniuszowi zaś, czuwającemu nad życiem ludzkiem—kwiaty polne i wino. Kwiaty były symbolem przemijających przyjemności, wino zaś—żywiołu orzeźwiającego pracownika.

Każda rodzina patrycyuszowska miała swoje obrzędy religijne, które zachowywała nawet po ustanowieniu kapłaństwa. I wówczas kobieta towarzyszyła mężowi przy obrzędach religijnych. Za monarchii król i królowa przewodniczyli ofiarom, składając je bogom za dobro kraju. Obrzędy te odbywały się w dawnym pałacu królewskim w klasztorze Westalek.

Po zaprowadzeniu rzeczypospolitej, króla zastąpił wielki kapłan, zwany królem ofiar, żona zaś jego przedstawiała królową ofiar.

Ubiór jej stanowiła suknia kolorowa, włosy zaczesane wysoko, wkoło nich wstęgi i welon. Nie mogła drugi raz za mąż wyjść; wielki kapłan, jeżeli powtórnie chciał się ożenić, musiał porzucić kapłaństwo.

Tak prywatny Rzymianin jak kapłan posiadali władzę despotyczną: mąż mógł żonę sprzedać, zabić za najmniejsze przewinienie; wprawdzie ograniczała go opieka, rozciągnięta nad jego żoną, i opinia publiczna. Ale głęboka miłość czystości, silniej jej broniła, niż sąd rodzinny.

Osobną kaplicę przeznaczono dla matron czystych obyczajów, krwi arystokratycznej. Jeżeli zaszło jakieś nieporozumienie pomiędzy małżonkami, a sąd rodzinny osądził niesprawiedliwie, odwoływano się wówczas do sądu ludu.

Prawo uczęszczania do wyżej wspomnionej kaplicy, zabronione zostało Wirginii, zaślubionej konsulowi pochodzenia plebejuszowskiego Wolumniusowi. Wirginia wystawiła ołtarz czystości w Atryum, i zgromadziwszy matrony, w gorących wyrazach przedstawiła im: że, jeżeli może modlić się przed ołtarzem domowym, ma również prawo wchodzić do kaplicy, jako matrona nieposzlakowanych obyczajów.

Wielka była moc czystości matron rzymskich, kiedy ani niemoralnie wysoce uroczystości skazić ich nie zdołały.

Matrona też w Atryum, była nietylko wierną strażniczką moralności rodziny, ale i pilną pracownicą dla jej dobra. Kiedy wszystko spoczywało, ona jedna wśród służebnic w tej wielkiej sali, skromnie umeblowanej, gdzie wiecznie gorzało ognisko domowe, siedzi na łożu naprzeciwko drzwi, tak żona senatora, jak prostego plebejusza, i gorliwie pracuje.

Pod jej pieczą są Lary, Penaty, portrety przodków, archiwa familijne.

Ona jest ozdobą domu skromnego, cała w purpurze i złocie, którego Rzymianin nie szczędzi dla niej, jako dla najdroższego swego skarbu.

Ona przewodniczy robotom niewolnic, sama tka i przędzie dopóźna w nocy, jak pracowita pszczółka.

Rzymianin, pierwiastkowo pasterz, później rolnik, uprawia pola, winnice, hoduje oliwki—bogactwo Italii, sadzi wierzby, topole.

W początkowych czasach w obronnej willi miał pod pieczą przedmioty czci domowej, broń, ubranie rodziny, meble, narzędzia gospodarskie. Żona rozporządzała zbiorami, zamykała kufry, śpiżarnie, szafy. On miał opiekę nad bydłem, karmił je troskliwie; ona była przytomna przy strzyżeniu wełny, liczyła runo, pielęgnowała drób', wysyłała w pole niewolników, zajmowała się mleczarnią. Marynowała szabelbon, sałatę, cebulę, brukiew, oliwki, przechowywała winogrona, śliwki, gruszki, jabłka, figi, orzechy; z miodu robiła smaczne napoje; przyprawiała mięso wieprzowe.

Ona pilnowała winobrania, zbioru oliwek, doprawiała wino i oliwę, ze zboża robiła mąkę.

Każde z małżonków pracowało ze swojej strony dla wspólnego dobra rodziny.

Ona strzegła czci mężowskiej strzechy; on — ojczyzny.

Po pracy na polu lub w obozie mąż wypoczywał przy ognisku domowem, w pokoju i radości.

Ta ukochana od męża i szanowana powszechnie matrona była prawdziwą towarzyszką mężczyzny.

On ją wtajemniczał w swoje zamiary, myśli, udział jej też w sprawach państwa był niemały. Rzymianin tak pewny był wierności swej żony, że nigdy nie przybywał niespodzianie do domu, ale zawsze ją o swym powrocie zawiadamiał.

Cześć dla niej miał wielką. Chodziła też wszędzie swobodnie; najwyżsi nawet urzędnicy ustępowali jej z drogi, a kiedy jechała z mężem, wówczas nie miał obowiązku schodzić z wozu, by powitać przechodzącego konsula.

W czasie nieobecności męża mogła przyjmować krewnych.

Tak najbogatszy, jak najuboższy Rzymianin, wydawał skromne uczty rodzinne. Goście siedzieli na ławkach przed ogniskiem, w późniejszym czasie — na łóżkach ozdobnych.

Matrony siedziały przy stole na ławkach. Na stole, długim, podawano jarzyny uprawiane przez ojca rodziny, zupę w paterze etruskiej.

W czasie świąt uroczystych dodawano misę słoniny i świeże mięso.

Tak pełne prostoty, pokoju pracy i miłej swobody było pożycie małżeńskie, uprzyjemniane uroczystościami religijnemi i składaniem ofiar przy ognisku domowem.

Żaden z ludów starożytnych nie przestrzegał tak jednożeństwa, jak Rzymianie.

Rozwód ograniczony był prawami i obyczajami. Jeżeli mąż oddala żonę bez powodów prawnych, oddają go bóstwom piekielnym, dobra jego konfiskują: połowę oddają małżonce oddalonej, drugą Cererze, protektorce małżeństwa.

W ciągu lat 520 nie było ani jednego rozwodu, gdyż mąż *zabijał* niewierną mu żonę.

Pierwszy dopiero Spuryusz Cerwiliusz rozwiódł się z żoną, z powodu jej bezdzietności. Rodacy nie szczędzili mu swego oburzenia.

Zgoda poważnionych następowała w kaplicy na Palatynie.

Mąż w późniejszych czasach dziedziczył po żonie, żona wzajemnie należała do równego działu majątku męża, z dziećmi.

Wdowa nie przechodziła pod opiekę syna, jak u Hebrajczyków i Greków, przeciwnie, jej dostawała się opieka nad małoletniemi.

Matrony rzymskie godne były swoich praw macierzyńskich, bo one karmiły swe dzieci, przelewając w nie swoje cnoty, tworząc z synów wielkich obywateli, z córek czyste matrony, dumne swojem macierzyństwem, czujnością nad sprawami domu.

Syn, ulegając surowym prawom rodzica, uczył się zawczasu panowania nad narodami.

Okryty największemi godnościami, Rzymianin, schylał swoję władzę przed powagą macierzyńską.

Matka umie uczynić słodką tę władzę, jaką wywierała nad synem, bo nie ma w swoim charakterze surowości Spartanki.

Umie uzbroić go na wojnę; jeżeli zginie, boleje nad jego śmiercią. Nie wstrzymuje łez swoich jak Spartanka, a jeżeli w boleści swojej dąży do świątyni, to równie nie jak Spartanka, by podziękować bogom za chlubną śmierć swego dziecięcia, lecz, by po jego zgonie wypłakać rozpacz i żałobę serca u stóp ołtarza.

Matka Euryalosa, Trojanka, towarzyszyła synowi do obozu, a syn nie miał siły pożegnać się z nią, idąc na wojnę; więc też tak przemawia do Askaniusza, syna Eneasza: „Biorę na świadki choć i twoją rękę, że nie mógłbym znieść łez mojej matki“. I powierza przyjacielowi swoją ukochaną rodzicielkę. Matka, dowiedziawszy się o śmierci syna, śpieszy do obozu nieprzyjacielskiego, a widząc zdala głowę Euryala zatkniętą na włóczni, przebija się przez szeregi, nie zważa na strzały, pociski, i niby posąg z marmuru, staje przed tą drogą głową, budząc litość i współczucie samych wrogów („Eneida“).

Dwie matki Rzymianki, które opłakiwały już śmierć synów, ujrzawszy ich niespodzianie żywych i całych, umarły z radości.

W nagrodę, po śmierci każdej z nich miewano mowę nad ich grobami, jak po zgonie wielkich mężów.

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Józio poprzysiągł sobie, że czerpać będzie wszelkie możliwe wrażenia z życia — aby je jak najprędzej przetworzyć na scenie. Myśli, jak błyskawice, rozjaśniły mu twarz—nadzieją i pragnieniem...

— Do pracy—przerwał reżyser.—Panie, panie, zaczynaj monolog czwartej sceny.

Józio spoważniał—posmutniał i zaczął:

O dziwny świat! ten młody rotmistrz przy maco-
Tak cudowny, a zimny jak lód się wydaje; [sze,
Gdy ja ledwom ją ujrzał, już mi serce taje,—
Już chciałbym albo żyć z nią—albo umrzeć dla
Mościa kasztelanowo! o, zgadłaś waćpani, [niej.
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik!
Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik:
Ona mi będzie serce obracać oczyma...

— A teraz pozwól, młody kollego — przerwał reżyser—że ja ci zagram Mazepę. Bądź pobłażliwym, gdyż to nie moja rola. Idzie tylko o zrozumienie i oddanie myśli autora—o *interpretacyą* zcudzoziemska. Słuchaj!

Józio zsunął się na krzesło, lecz nerwy i wzruszenie nie dały mu usiedzieć na miejscu: zerwał się. Duszę utopił we wzroku i słuchu.

Powoli rumieniec wstydu występował mu na twarz. Siedział jak skazaniec, a raczej jak student nieumiejący lekcyi. Żal mu było samego siebie, a przeklinał chwilę, w której przestąpił próg domu reżysera.

— Zbłaźniłem się,—powtarzał w duchu, gdy tymczasem donośny głos reżysera, modulowany zalotnością pazia, rozlegał się po pokoju.

Skończył... — Gdyby mi kazano koniecznie grać Mazepę, takbym grał—powiedział spokojnie.

Spojrzał na Józia: Józio powstał blady, zamyślony, znękany.

— Zazdrościsz?—zawołał reżyser — i rozśmiał się.—Nie zazdrość piętnastoletniej pracy.

— Nie zazdroszczę—szepnął Józio—żal mi tylko moich marzeń: aktorem nie będę — straciłem nadzieję!

— Co?—co?—żartujesz... Przysięgam ci, że za dwa lata lepiej zagrasz Mazepę, niż ja go dziś grałem—przysięgam ci... Lecz dzisiejsza młodzież chce odrazu wszystko posiąść bez pracy... Cierpliwości, moje dziecko — studyów!... Sztuka jest trudna, bardzo trudna. I geniusze muszą jej oddać całe swoje życie, jeżeli chcą być geniuszami... Zabawny jesteś!... Sztuka musi ci całe serce i umysł zabrać na zawsze; inaczej uciekaj od niej do magistratu—na praktykanta, diurnistę, na co chcesz... Zawsze na starość zostaniesz naczelnikiem sekcyi targowej—zaśmiał się.

Zrażać się nie ma co—mój drogi, lecz pracować, pracować i jeszcze raz pracować...

A zatem głowa do góry, oczy przed siebie!—Powtórz raz jeszcze scenę Mazepy, którą oddeklamowałem, i bądź zdrów... Przychodź codzień; za tydzień teatr zamykają — wakacye i w góry! Trzeba odpocząć...

Po skończonej lekcyi, zdenerwowany i wyczerpany, chłopiec dobił się wolno do plant, kierując się ku domowi.

— Czy ja będę kiedy prawdziwym artystą? — rozmyślał—zadowolonym z siebie?.. Bo co mnie tłum obchodzi? Co mnie obchodzą oklaski — co mnie obchodzi uznanie parteru—stu głupców takich, jak ja?... Ja pragnę uznania samego siebie i serdecznego uścisku dłoni poczciwego reżysera!... To mi wystarczy — to mi musi wystarczyć! Bezmyślny tłumie, idyoci krytycy, co mi zrobicie—co mi możecie zrobić—jeżeli ja nic od was nie żądam?... Czegoście wy nie pisali i czegoście nie wykrzykiwali na Słowackiego? Spaliliście go żywcem, a on powstał z popiołów — wielki i nieśmiertelny!

Stanął po długiej chwili namysłu—dokończył.

— Ha—osły, osły—kpię sobie z was...

Tym wykrzyknikiem otrzeźwił się, rozradował i nabrał wiary w siebie.

Przed domem spotkał Stefkę; przybiegła do niego.

— Józiu, wielkie nowiny! Mama wynajęła nasze mieszkanie za sto dwadzieścia na dwa miesiące, ojciec dostał urlop—jedziemy na wieś!... Cieszysz się?...

— Cieszę—zawołał.

— Mama czeka na ciebie; musimy się wybrać, aby znaleźć jaką porządną chatę z ogródkiem pod Krakowem i nająć ją.

Chłopiec, ująwszy rękę siostry, biegł z nią po schodach. Zdyszany, wpadł do mieszkania.

— Musimy mieszkanie opuścić za cztery dni — a nie wiemy gdzie się podziać—skarżyła się matka. — Latasz po całych dniach.., u babki ciasno i gorąco...

— Mamo, jutro, skoro świt, wyruszam — i do wieczora znajdę, zgodzę, najmę: leśniczówkę, lub co mamusia zechce... Ojczulek z nami; razem, we czworo, będzie nam jak w raju!... Potrzebuję szerokiego horyzontu dla mych oczu—przestrzeni dla mych płuc—a wielkich widoków dla myśli!...

— Właśnie teraz czas na deklamacye — przerwała matka — gdy trzeba radzić i myśleć, a na ojca w niczem nie można się zdać.

— Nie pleć głupstw o horyzontach a radź—dodała Stefa poważnie.

— Słucham co mama każe — odparł urażony jedynak.

— Ja nic nie każę, tylko, że mieszkanie na wsi musimy mieć za dwa dni. Mówią, że w Tyńcu...

— Polecę do Tyńca!

— Inni radzą Krzeszowice.

— Lecę do Krzeszowic!...

— Ty tylko chcesz lecieć.

— Niech mama jutro ze Stefą jedzie do Krzeszowic, a ja piechotą pobiegnę do Kowalówki... Cicha ścieżka w lewo od Podgórza przy Wiśle. Wrócimy do domu wieczorem i wtedy będziemy radzili.

— Mamo, Józio mądre słowo powiedział. Ja z mamą do Krzeszowic, on do Kowalówki i jutro uradzimy.

Nowe wrażenia opanowały młodego chłopca. Wieś, natura, szerokie horyzonty, lud — i jego wyobrazicielka! o wiśniowych ustach Jagusia...

— Piekło poruszę—powtarzał z dramatycznem zacięciem—a muszę znaleźć mieszkanie w Kowalówce. Jaguś, czy ty myślisz, żem o tobie zapomniał? Nie—nigdy!...

— Fale nowych wrażeń — tłómaczył sobie — zasłoniły mi Jagusię. Lecz burza ucicha, fale białej mgły opadają, robi się cicho, pogodnie—i znowu staje przedemną śliczna córa ludu i wabi mnie prostotą swą - prawdą... Precz teatralny szych, udawanie, gra, komedya... Pragnę prawdy i za prawdę oddałbym życie.

Po tym monologicznym wykrzykniku, który wydawał mu się wspaniałym, godnym Słowackiego—napisał do reżysera, iż jutro na lekcyą przyjść nie może, lecz za to pojutrze przyjdzie nieco wcześniej, aby mógł korzystać z jego boskich rad — kocha sztukę i pragnie całe życie być jej wiernym niewolnikiem.

* * *

Zaledwie różowa jutrzenka rozweseliła świat, szczyty wież krakowskich ozłociło wschodzące słońce — rozbudzony własną suggestyą chłopiec zerwał się, zbudził matkę i Stefkę, wypił gorącego mleka całą kwartę, bułkę schował do kieszeni—i pomknął krokiem młodości, pchany nerwami i ciekawością.

Kraków, jaskrawo oblany słońcem, spał. Cisza na pustych ulicach była męcząca—a uczucie pustki przygniatało serce. Spłoszony ciszą Józio przyśpieszał kroku. Wpadł na most. Wisła, ożywiona szmerem płynących wód, dokoła wesoła zieloność i szerokie horyzonty rozradowały go — smutek znikł. Z mostu zwrócił się na lewo—dobił do wału Wisły i mknął żywo. Przed nim leciały wesołe jego myśli. Fale wody je niosły i pluskiem swym akompaniowały muzyce młodości.

Uczuwał, że jest już nie tym, jakim był wtedy, gdy ze Słowackim biegł kryć się do lasu. Los, przyszłość, wielkie zadania, siedziały mu na ramionach—niósł je z sobą.

Orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramie!...—powtarzał co chwila.

Wywijał laską—i zdało mu się, że rzuca pioruny.

— Nędzny tłumie—ja ci będę wyciskał łzy, kruszył serca i sprawiał nad głową burzę!... Obleję was potokami uczucia — i niebo i słońce ukażę...

Stanął zachwycony młodością swą i marzeniami.

Jak tu rozkosznie!... lud, natura - sztuka—łączą się w mem sercu w jednę całość!..

Dalej, dalej, wichry, huragany, z drogi! Niech będzie co chce: *użytecznym* nie będę—nie, nigdy!...

Zobaczył na zielonem tle skoszonych łąk wązką grobelkę i lasek olszowy z przebłyskującemi o białej korze brzózkami.

— Tam się zrodziła w mej duszy miłość do sztuki—deklamował — tam pierwszy raz grałem Mazepę. Tam, w tem oto miejscu, natura dała światu wielkiego artystę—lub—lub wielkiego — durnia!...

Przed *durniem* ucieknę na prawo albo filozofię i powoli przemienię się *w porządnego* mieszczanina—punktualnie chodzącego do biura, lub szkoły... Uciec przed *durniem* mam czas,—choćby cały rok—a rok życia w dwudziestu latach — to wiek, to cały wiek!...

Zatrzymał się; z wałów ścieżka skręcała na prawo, na drogę przecinającą Kowalówkę. Zdaleka widać było białe ściany chat, silnie odcinające się od zieleni i szarej drogi.

— Jestem u celu! Tam, w drugiej chacie, o wesoło wijącym się w górę dymie, moja Jaga z ustami wiśni, ze spojrzeniem rusałki, z wesołością dziecka

Używajmy młodości! — zawołał z uniesieniem i zbiegł z góry na dół.

Stanął przed drugą chatą i zawołał: — Jaguś, Jaguś, a wyjrzyj-no...

We drzwiach chaty ukazała się wiejska kobieta o surowem spojrzeniu.

— A czego to chcą od Jagi? zapytała ostro.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odparł pośpiesznie chłopiec, nie tracąc odwagi, a na znak swej religijności i uprzejmości uniósł nieco nad głowę kapelusz.

— Na wieki — odpowiedziała, udobruchana grzecznością kobieta.

— Jagusi niema?—spytał czule. Stara zmarszczyła brwi

— Na co?—rzekła opryskliwie.

— Pozwolicie, matusiu, wejść do izby, to opowiem Bo wy może nie wiecie, jakim sposobem poznałem waszą córkę?

— *Słyszałam* — mruknęła, cofając się do izby. Za nią wszedł Józio zdjął kapelusz i skromnie usiadł na ławie.

— Matka moja z siostrą—i ojciec, — dodał — szukają mieszkania na wsi. Czy nie wiecie o jakiej chacie, którąby można wynająć?

Stara, widocznie ujęta ciepłem chłopca, siadła również na ławie, podparła jedną ręką głowę, — drugą łokieć, i zadumana milczała.

— Może wikarówkę—lub mieszkanie nauczyciela?..

Drzwi się gwałtownie rozwarły, wpadła z dwojakami zdyszana Jagusia. Stanęła jak wryta, buchnęły na nią ognie. Chłopak się również zarumienił i oniemiał.

— I czego stoisz i ślepia wytrzeszczasz nikiej wylęknione ciele?—ofuknęła dziewczynę stara.

— Nie spodziewałam się zastać kogoś w izbie, to mi dziwno... Dziwić się wolno — dodała spokojnie.

Matka się obejrzała, dziewczyna pogroziła pięścią chłopcu.

— Zleciałem się okrutnie — rzekł chłopiec — i jeść mi się chce, jak wilkowi..

— A po co było lecieć?—odparła surowo dziewczyna. — Czasu dość, aby przyjść i wrócić za dnia do Krakowa. A czego tu panicz chcą?...

— Chciałby wynająć na lato mieszkanie — odpowiedziała matka. Dziewczynie oczy zaiskrzyły się radością.

— Wynajmie—zawołała—od profesora wynajmie *pewnikiem*. U nich teraz bieda, to im się ulży, gdy zarobią choćby parę dziesiątek.

— Daleko do szkoły?

— Kawałek...

— Zaprowadźcie mnie, Jaguś, do professora, a matusia uwarzą tymczasem śniadanie. Pomożesz mi wytargować i ugodzić się z professorem.

— Da sobie panicz sam radę: czasu mało, a roboty huk—nie pójdę.

— Matusiu, każcie dziewczynie pójść — prosił Józio.

Jaguś, odwrócona twarzą do komina, milczała.

— Idźże—rzekła matka — uwarzę tymczasem mleka.

— Nie pójdę—odpowiedziała dziewczyna.

— Sam nie trafię—prosił chłopiec.

— A idźże, głupia, zaraz—huknęła stara—co się ma panicz poniewierać po wsi?!...

Dziewczyna, nie oglądając się, wybiegła z izby; Józio pochwycił kapelusz i skłonił się starej.

— Do widzenia—zawołał i wybiegł.

Jaguś biegła żywo drogą naprzód; zaledwie zdołał ją dogonić w cieniu przydróżnych lip.

— Dla czego nie chciałaś iść ze mną? — odezwał się.

— La czego?! żebym się nie drożyła matsi, to by się jej Bóg wie nie co zdawało! A la czego to panicz nie przychodził, co?.. A la czego dziś przyszedł, kiedy mówiłam, że matsia tylo we wtorki chodzą na targ do Podgórza?...

Uderzyła go z pewną poufałością, jakby go ukarać chciała.

Józio odczuł brutalność uderzenia, — doznał uczucia nerwowego; odwrócił się i stanął.

Stała przed nim dziewczyna rozwinięta, młoda; odchylone wiśniowe usta wzywające do pocałunku, po za niemi szereg białych zębów — w oczach—ognie. Biała chusteczka na głowie podwoiła uroki; całość tchnęła wiosną młodości i zdrowiem. Patrzała wyzywająco i śmiała się wyzywająco, ujmując się pod boki, jakgdyby się pytała:

— Cóż, nie pocałujesz mnie?

— Tęskniłaś? - szepnął.

Potoki gorącej krwi zalewały mu serce i mózg.

— A panicz?

— Bardzo!

— A ja odrobinę.

Obejrzeli się jednocześnie. Na drodze było pusto, liście lip łagodnie szumiały, szepcząc denerwującą pieśń. Chłopak roztworzył ramiona; dziewczyna, podparta pod boki, cofała się wolno, śmiała, wyzywająca, rozkoszna!...

Pochwycił ją w pół; uniosła się na palcach bosych nóg i nadstawiła usta, obejmując go za szyję...

Zdyszani, odetchnęli.

— Nie przychodziłeś — a ja cnęłam, żem się o mało co nie zagubiła... Myślę se: zapomniał, abo co? Miałam okrutną ochotę polecić do Krakowa i sprać cię.

Józio, wzruszony, milczał. Szli razem, trzymając się za ręce pod cieniem lip—przy muzyce szumiących liści. Wiatr, swawolnik, chłodził im rozpalone twarze.

— Będziemy teraz razem — odezwał się cicho chłopiec.

— To znowu nie dobrze — odpowiedziała Jaguś—bo całowania nie będzie początku i końca.

— Całować lubisz?—spytał.

Dziewczyna popchnęła go silnie, aż się zatoczył, lecz zarazem zaśmiała się tak wesoło i rozkosznie, że znowu stanął i odwrócił się.

— Lipy się kończą: jeszcze raz. szepnął.

— Temu „jeszcze raz“ i końca nie będzie. Prędko, bo boję się, aby kto nie nadleciał.

I znowu pocałunek splótł ich razem w gorącym uścisku...

— No, już teraz prosto do professora — zawołała dziewczyna, wyrywając się naprzód.

— Daleko?—pytał chłopiec, ciężko oddychając.

— Ze cztery stajania.

— Wynajmie?

— Przecież nie głupi!

— A któż nam sprzęty przywiezie z Krakowa?

— Wójt ma ci dobre konie: za piątkę dostawi.

Józio uczuł się pod wpływem siły energii i praktyczności dziewczyny.

— Moja Jaguś — ty gódź się, targuj, ty rób wszystko.

— No, no — powiedziała z przeświadczeniem wyższości i pewności siebie. Na zakręcie drogi, na niewielkiem wzgórzu, bieliła się szkoła. Na straży jej pokręcony dąb, a ocieniały ją bzy—i dzikie wino, pnące się po cienkich słupach ganeczku. Słońce oblewało ten cichy zakątek; strumyk głęboki, którego nie było widać, schowany za szkołą, dawał znać o sobie monotonnym pluskiem.

— Jak tu ładnie!—zawołał Józio.

— A będziewam dobrze: professorowa do rany przyłóż...

— Jaguś, gadaj ty z nimi sama, a ja ci będę przyświadczał.

— Jakoś dziwnie im się to wyda, ale sprobuję...

Zpoza gąszczu winnych liści wychyliła się łysa głowa, za nią poczciwa szeroka twarz i szpakowata broda.

— Jaguś, kogoż to do nas prowadzisz? — zapytano.

— Gościa z Krakowa! — zawołała i poskoczyła naprzód, niknąc wraz z łysą głową w cieniach liści winogradu.

Józio zatrzymał się i rozglądał, czekając wezwania.

Długa upłynęła chwila, zanim powtórnie wychyliła się łysa, duża głowa, osadzona na niewielkim, nieco przygarbionym od pracy tułowiu. Chłopiec skoczył na ganek.

— Jeżeli chcecie państwo koniecznie — zaczął nauczyciel—odstąpimy wam nasze mieszkanko na dwa miesiące. My tymczasem wpakujemy się do szkoły i damy sobie jakoś radę. Oddajemy dwa pokoiki i kuchenkę; na cztery osoby trochę ciasno, lecz dla kawalera znajdzie się kącik na strychu lub w stodółce. Gdym był w wieku kawalera, sypiałem na kołku... Proszę zobaczyć...

Poszedł naprzód, za nim Józio.

Dwa schludne pokoiki i kuchenka nęciły.

— Kanapę, fotele i stół z serwantką zostawimy. Ja odstępuję swoje łóżko—będziemy radzić i pomagać...

— Co do ceny, — rzekł nieśmiało Józio—nie możemy więcej ofiarować, nad pięćdziesiąt papierków.

— Ale zgoda—niech będzie pięćdziesiąt! A przecież towarzystwo i znajomość coś znaczą. Magduś! Magduś!—zawołał głośno.

Do pokoju weszła pani professorowa, naprędce przybrana w biały kaftanik—i kryjąca się za jej plecami Jagusia.

— Kawaler daje pięćdziesiąt! — zawołał nauczyciel.

— Płacimy z góry — dodał pośpiesznie Józio, z obawy, aby propozycyi nie odrzucono.

Na zmęczoną twarz professorowej wystąpił bladawy rumieniec zadowolenia i źle ukrytej radości.

— Jeżeli tak panowie postanowili—to musi być zgoda.

Józio położył piątkę, jako zadatek, na stole.

— Kiedyż państwo przyjedziecie?

— Jutro—pochwyciła Jagusia.

— Jaguś, dajże czas i państwu się spakować i nam wynieść!

— To pojutrze—dodała.

— Na pojutrze zgoda. Pojutrze czekamy z obiadem. Zosia zgotuje mleka—nasmaży jajecznicy...

— Mogą być kurczęta—przerwała z dumą professorowa.

— Niech będą, a teraz wódeczki, żonusiu, chleba i masełka. Należy oblać zgodę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Projekt reformy w zakresie kształcenia kobiet, przedstawiony Radzie państwa, został zwrócony dla potrzebnych uzupełnień. Dzienniki petersburskie, rozbierając tę kwestyą, wykazują, iż byłoby błędem, gdyby różnice stanów wpływały na możność wyższego kształcenia się kobiet, zwłaszcza, że nie jest to przyjęte w edukacyi szkolnej mężczyzn.

— Dzienniki petersburskie przypominają, iż z rokiem bieżącym kończy się trzydzieści lat zajmowania przez kobiety posad w urzędach telegraficznych. Obecnie pracuje w tym zakresie 800 kobiet.

— Patenty domowych nauczycielek matematyki otrzymały od warszawskiego okręgu naukowego pp. Kazimiera Anastazya Kręcka, Anna Lewicka i Zofia Joanna Straszewiczówny; patenta domowych nauczycielek artymetyki; p.p. Olga Glier, Stanisława Galmanówna, Berta Julia Najpert; patenta początkowych nauczycielek prywatnych p.p. Kazimiera Tekla Majewska, Alina Marya Kopczyńska, Stefania Felicya Kilińska, Florentyna Kruszyńska, Natalia Marya Kryńska, Franciszka Marta Boczkowska.

— W malarni Muzeum rzemiosł, zostającej pod kierunkiem p. Mirosławskiej, panie opatrzone w karty wstępu rysują lub malują na szkle, porcelanie, marmurze, tkaninach i tym podobnych materyałach.

— Przemysł produkowania przędzy jedwabniczej mógłby się stać jedną z ważniejszych i dobrze się opłacających gałęzi pracy pań ziemianek, gdyby te panie chciały się nim zająć. Pismo nasze wzywa do tego od lat wielu, stawiając, jako przykład, korzyści, jakie gdzieindziej otrzymuje z tego źródła gospodarstwo kobiety, czemu nie stawa na przeszkodzie nasz klimat, ponieważ morwa daje się hodować bez trudu w sadach naszych, produkując dostateczną ilość liści, które są pokarmem jedwabników. Zarząd Tow. jedwabniczego postanowił urządzić z nadejściem wiosny wzorową hodowlę jedwabników w pobliżu plantacyi morw w parku Sieleckim za rogatkami belwederskiemi. Przewodniczyć tu będzie doświadczona w tym zawodzie hodowczyni; panie, pragnące powiadomić się dokładnie o rzeczy, mogą zgłaszać się do biura Towarzystwa, Nowy-Świat Nr. 41, gdzie można również zamawiać jajeczka tylko jeszcze w ciągu dwóch bieżących tygodni, a to, aby w czasie właściwym mogły być otrzymane.

— Prawa kobiet rzemieślniczek, należących do cechu, są według wyjaśnienia magistratu takie same jak i majstrów cechowych. Przecież patenty, będące świadectwem uzdolnienia w danem rzemiośle, mogą być wydawane tylko przez urząd zgromadzenia starszych: zatem kobiety utrzymujące warsztaty nie mogą wydawać świadectw co do uzdolnienia ucznia lub czeladnika na majstra według ustawy z 1816 r. Kobieta wdowa po majstrze cechowym mogła zajmować stanowisko brata cechowego, utrzymywać warsztaty, wyzwalać czeladników i terminatorów a nawet wykonywać pewne obowiązki cechowe. Wolno było zatem majstrowej wdowie rzemiosłem się trudnić, wolno jej było terminatorów trzymać i kobietom, które zajmowały miejsce braci cechowych, powierzano przy wyzwolinach na majstrów ważną rolę, jak świadczy regulamin cechowy, zatwierdzony w 1771 r. Uczestnictwo kobiet w cechach istniało u nas w epoce stosowania praw i zwyczajów instytucyi średniowiecznych.

— Szkoła gotowania i nauki gospodarstwa domowego ma powstać w mieście naszem założona, przez p.p. Dębowską Zofię i Glasmanową Kaźmirę. Początkowo otwartą zostanie szkoła gotowania, podzielona na dwa oddziały: dla dziewcząt, które chcą być kucharkami, i dla panien pragnących obznajomić się z tą gałęzią gospodarstwa kobiecego. Szkoła zamierza urządzić jadalnię dla kobiet, oraz wydawanie obiadów i wieczerzy na miasto, a to w celu, aby uczennice miały potrzebną tu praktykę.

— Domowy przemysł kobiety na wsi zaczyna być zaniedbywanym, a jednak stanowił on niegdyś rzecz wielce znaczącą w ekonomii rodzin, jak pismo nasze wykazywało niejednokrotnie. Z usunięciem go znaczna liczba kobiet musiała pod siłą konieczności wydzielać się z rodziny i poszukiwać w miastach zarobku, co przedstawia, tak dla klas wyższych, jak dla niższych, pracę ciężką i smutną, skazującą na samotność często całego życia. Są jednak okolice, w których przemysł do zaniedbanym nie został: włościanki z powiatu wileńskiego i oszmiańskiego wyrabiają bardzo gustowne tkaniny; w zaścianku szlacheckim Barszcze, w powiecie także wileńskim, kobiety produkują znaczną ilość sukna i kortów różnego gatunku, ceny ich są od jednego do półtora rubla za materya podwojnej szerokości, a dodać trzeba, że wyroby odznaczają się dobrym gustem.

— Mleczne gospodarstwo kobiety jest bardzo rozwinięte w Szwecyi i przynosi znaczne dochody, a dodać trzeba, że prowadzi się na podstawie pewnych danych nauki. Pięćdziesiąt pięć młodych panien kształci się corocznie w tej gałęzi pracy kobiecej kosztem skarbu państwa; zpośród tych czterdzieści otrzymuje posady rządowe nauczycielek w szkołach dziewcząt, a reszta—jako nauczycielki w szkołach mleczarstwa. Zakładane są obok tego stacye i folwarki wzorowe, oddane całkowicie wyrobowi masła, którego wywóz za granicę przynosi gospodyniom zyski zaliczające się do źródeł dochodów krajowych.

— Odczyty kobiet w zakresie hygieny i pielęgnowania chorych mnożą się w państwie angielskiem. Miss Dunbar, mieszkająca w okolicach Brightonu, zjechała do tego miasta w celu wygłaszania tam „Popularnych odczytów o zdrowiu“. Pierwszy odczyt miał dwudziestu słuchaczy, czwarty przeszło stu, tak kobiet jak mężczyzn. Miss Alicya Wadane, należąca do londyńskiego stowarzyszenia zdrowia, przemawiała na żądanie tegoż towarzystwa w wielkiej sali prelekcyjnej „Minerva Hall“ o „Zdrowotności mieszkań.“

— Irlandzka pani, M-rs Henniker, należąca do dozoru dublińskiego szpitala Ś-go Patryka, odbywa tam co miesiąc inspekcyą kuchni i zwiedza oddział dzieci rekonwalescentów. Oprócz tego, łoży grosz znaczny na ten oddział, nierzadko przysyła z kuchni własnej dla przychodzących do zdrowia potrawy posilne, oraz odzież odpowiednią do pory roku: a nie jest to bynajmniej magnatka i żyje bardzo skromnie w pomieszkaniu złożonem z trzech niedużych pokoików.

— Miss Gracya Harriman, właścicielka ziemska w okolicach miasta Derby, założyła wielki sad, szkółkę drzew owocowych, i obszerne inspekta, wyznaczając obok tego duży kawał gruntu na sad i inspekta doświadczalne, gdzieby panie, chcące obeznać się z ogrodownictwem odbywały praktykę. Zawód ogrodniczy stał się od pewnego czasu gałęzią pracy zarobkowej kobiet w Anglii i Szkocyi.

— Amerykanka, Karolina Brown Winslow, jedna z pierwszych w ojczyźnie swojej kobiet doktorów medycyny, obchodziła w tym czasie czterdziestolecie pracy swojej w zawodzie lekarskim. Mieszkanka okolicy, w której wezwanie

pomocy lekarskiej było wielce trudne dla ludzi nie bogatych, dla osadników wiejskich, postanowiła pod natchnieniem uczuć miłosierdzia i miłości bliźniego studyować medycynę. Wstąpiwszy w 1853 r. do szkoły lekarskiej w Cleveland-Ohio, oddała się studyom obranym, walcząc z biedą, z nędzą prawie. Była ona czwartą z pośród Amerykanek, które jęły się tego zawodu, a pracowita z natury, przytem z sercem pełnem litości nad cierpieniem ludzkiem, wielce miłosierna, nie ociągała się nigdy wobec wezwania do łoża chorego, zwłaszcza, jeżeli to był człowiek ubogi. To obcowanie z ludźmi klas różnych, widok skutków, jakie sprowadza nędza, przeniknęły serce jej i umysł. Założyła też „Stowarzyszenie moralnego kształcenia“ *Moral Educational Society*, którego przewodniczącą została, a wkrótce potem redaktorką czasopisma „Alpha,“ mającego tenże sam cel. Była już wtedy mężatką, małżonką Fryderyka Winslow, profesora, i wykazywała w piśmie redagowanem przez siebie obowiązki macierzyńskie— prawa dziecko, aby było mu danem zdrowie duszy i ciała. Wśród darów jubileuszowych otrzymała przepyszny wieniec kwiatów z przepaską złotą, na której wyryty był napis: „Od matek i dzieci.“

Z bieżącej chwili.

— Otwarcie wystawy sztuk pięknych w Akademii petersburskiej nastąpi d. 12 Marca n. st.

— Piszą z Petersburga, iż ostateczny projekt głównego rozdzielenia nowych władz w ministeryum kommunikacyi jest już wypracowany.

— Według dzienników petersburskich text 64-go artykułu przepisów pocztowych zmieniono w sposób następujący: „W razie wykrycia, iż w oddanym na poczcie pakiecie lub przesyłce wartościowej znajdują się pieniądze kurs w państwie mające, część tych pieniędzy ulega konfiskacie i oddaje się osobie, która wykryła nadużycie“.

— Zarząd Towarzystwa Osad Rolnych i Przytułków Rzemieślniczych urządza, jak lat poprzednich, w sali ratuszowej szereg odczytów z celem pomnożenia funduszów tych instytucyi dobroczynnych. Przemawiać będą: Dr Chmielowski wygłosi „Literatka polska przed pół wiekiem,“ Dr med. Władysław Ołtuszewski „Psychologia i patologia mowy,“ Stanisław Kramsztyk „O kometach,“ Adw. Plebiński Edmund „O lichwie,“ Adw. Pilecki Antoni „Kobiety poetki,“ Adw. Konic Henryk „Cechy w świetle wolności pracy.“ Bilety na miejsca numerowane sprzedaje się w abonamencie na seryą całą w biurze zarządu Towarzystwa Osad Rolnych (Królewska Nr 33) i w składzie nut Gebethnera i Wolffa.

— Nowo wznoszący się gmach Biblioteki Głównej będzie na wiosnę wykończony i oddany na użytek tej instytucyi. Roboty murarskie, kamieniarskie i dekoracyjne już są wykończone; wielkie żelazne szafy wraz z pomostami ażurowemi pomalowane olejno na kolor perłowy. Na zewnątrz ustawiono na krokszynach od strony obecnej biblioteki popiersia uczonych.

— J. E. arcybiskup Popiel zwiedzał pracownię malarza, Michała Kwiatkowskiego z celem obejrzenia obrazu, świeżo wykończonego a przedstawiającego „Ingres arcybiskupa Popiela.“ Mieści się tu trzydzieści sportretowanych postaci.

— W Solcu mają budować nowy kościół; dawny jest bardzo stary i za mały, względnie do liczby parafian. W Ostrowcu stanie również nowy dom boży, wspaniały i obszerny; część materyałów, kamień i wapno, już jest przygotowana drzewo zaś zwożą włościanie z lasów Kurozwęckich, nie przyjmując za to żadnego wynagrodzenia.

— We Włocławku istnieje już lat dwadzieścia ogniowa straż ochotnicza, dobrze zorganizowana i zaopatrzona w dobre narzędzia ratunkowe. Że członkowie jej są dobrze zasłużonymi społeczeństwu swemu świadczy wyraz wdzięczności i szacunku okazany w tym czasie naczelnikowi straży, p. Wincentemu Bojańczykowi, któremu wręczono jako podarek honorowy srebrny puhar z godłami strażackiemi. Gdyby wszystkie miasta i miasteczka nasze umiały wytworzyć sobie taką instytucyą bezpieczeństwa publicznego, nie byłoby tyle szkód, tyle nieszczęść a łatwiejszem-by się stało za pomocą dobrego przykładu rozszerzenie tej samoobrony i na wsie. Tu obowiązek urządzenia jej i zgromadzenia potrzebnych narzędzi wspólnym kosztem gminy, spada na dwór.

— Maglowanie należy do jednej z cięższych prac kobiety, obecnie przecież ulżyć temu będzie można, bo właśnie przedsiębierca p. *H.* urządza magle poruszane parą. Urządzenie ich obmyślił i wykonał ślusarz kolei wiedeńskiej p. *G.*

— *Gazeta Świąteczna* podaje wiadomość o losach kobiety pobożnej i energicznej, która w latach 1889-90 odbyła pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Jest to Maryanna Ch. Zamieszkała w Mławie, powróciła ona z pobożnej swej wycieczki do domu, gdy w 1890 r. podstępnie uwodzono lud wiejski, namawiając go do kolonizacyi w Brazylii, i łatwowierna dała się uwieśdź opisom tego zamorskiego kraju, pociągnąwszy swoim przykładem matkę ośmiorga dzieci. Los, jaki spotkał tam naszych kolonistów, stał się i jej udziałem; powróciła też do Mławy, w końcu ubiegłego roku, ale sama jedna. Co się stało z tamtą drugą kobietą i jej dziećmi?—niewiadomo.

— Zanotować należy fakt niezmiernie miły, świadczący: jak wpływy wychowania mogą oddziaływać na młode serca i umysły. Uczennice szkoły p. A. Jasińskiej, pragnąc zrobić jej przyjemność w dniu imienin, złożyły jako podarek kosz, który mieścił 50 koszulek i 54 sukienki dziecinne, uszyte przez nie a przeznaczone dla słabowitych dzieci ubogich, wyjeżdzających na kolonie letnie. Jak dobrym musi być siew, który owoce takie wydaje!

— Kommissya Tow. Ogrodniczego naradzała się nad urządzeniem Bagateli. Na ogrodnika kierującego ogrodem doświadczalnym wybrany został p. A. Drzewiecki, który kształcił się do swego zawodu w ogrodniczej szkole warszawskiej i w instytucie pomologicznym w Troi pod Pragą Czeską. Postęp ogrodnictwa ma u nas znaczenie niemałe ze względu na wywóz produktów ogrodniczych.

— Towarzystwo Tatrzańskie odbyło w sali posiedzeń krakowskiej rady miejskiej pierwsze walne zgromadzenie, któremu przewodniczył hr. Zamojski Stefan. Sprawozdanie wykazało, iż Towarzystwo liczy 1.886 członków. Na budowę dworca tatrzańskiego wydano 7.035 zł. reń.; schroniska przy Morskiem Oku zostały znacznie ulepszone pod względem potrzebnej wygody; roboty koło gościńca, wiodącego do doliny Kościeliskiej, naprzód posunięto; w dolinie naprawiono drogi i ścieżki. Towarzystwo wydało obok Pamiętnika pięć nowych krajobrazów tatrzańskich, heliograficznie wykonanych, i broszurę d-ra Ponikły, wykazującą znaczenie Zakopanego jako stacyi klimatycznej. Broszura wyszła w języku niemieckim ze względu na potrzebę rozszerzenia wiadomości, jakie zawiera. Nowy oddział Towarzystwa zawiązał się dla Pienin; dochody przyniosły 11.635 zł. reń., rozchody 13.977, zaciągnięto też pożyczkę 4.000 zł. reń. Budżet na rok przyszły oblicza dochody na 11.123 zł. reń, rozchody na 11.122.

— Międzynarodowa wystawa sztuki otwarta będzie w Wiedniu z początkiem Marca, a zapowiada się bardzo świetnie, tak co do liczby, jak i co do wartości dzieł spodziewanych.

— Zarząd wystawy powszechnej w Antwerpii już wyznaczył miejsca dla państw, pragnących tu wziąć udział. Belgijczycy zabrali sobie, naturalnie, przestrzeń największą, bo 30.000 metrów przestrzeni, Francya zajęła 15.000 metrów, Stany Zjednoczone 10.000, Włochy i Anglia po 4.000 metrów.

MYŚLI.

— Dobra myśl ma wartość dobrego ziarna, które rzucone w ziemię rozrasta się w zwyż i wszerz.

Gerson.

—

— Zbyt często wielka dusza, wielka myśl ukryta, w samotności jak róża wśród cierni rozkwita.

Mickiewicz.

—

— Jednem ze znamion cywilizowanego człowieka jest rodząca się w nim potrzeba duchowego związku z całym światem, świadomości jego rozwoju — potrzeba życia, nietylko własną siłą, ale wraz z życiem całego świata.

— Czytanie, więc oświadamianie się z tem, co się dzieje na świecie, jest warunkiem ruchu i pracy dla przyszłości.

Kraszewski.

—

— Napróżnobyś przepaścią dzielił czyn od słowa, bo w czynach tkwi poezya a w poezyi czyny.

Gomulicki.

—

— Człowiek jest słaby, gnie się jak trzcina, dopóki nie uczyni ciała powolnym sługą swoim.

Dygasiński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Tom II, ark. 5-ty powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Psychologia dziecka, przez M. I.— **Pogawędka**, przez ?? — **Niebezpieczny zwrot**, przez Maryę Jarmund. — **Kobieta w starożytnym Rzymie** przez Józefę Żdżarską. — **Pierwszy występ** nowella Sewera (dalszy ciąg).—**Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.—**Myśli**.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon.—Przegląd mód.—26 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 16 Февраля 1894 г.